



JAN BOGDANOWICZ

Załącznik do protokołu zeznania z dnia 6 czerwca 1947 r.

W drugiej połowie lipca 1944 roku wypadki wojenne zaczęły się toczyć z błyskawiczną szybkością. Nowa ofensywa wojsk sowieckich spowodowała szybki odwrót Niemców. Przez Warszawę dniem i nocą płynęła fala wycofujących się oddziałów, wywołując zrozumiałe podniecenie wśród ludności. W powodzi plotek, jakie w tym czasie obiegały stolicę, krążyły uporczywe pogłoski o mającym wybuchnąć powstaniu. Wreszcie 1 sierpnia padły pierwsze strzały; na Woli powstanie rozpoczęło się o godz. 16.40.

Już na wiele dni przed powstaniem Szpital im. Karola i Marii otrzymał od sanitarnych władz wojskowych instrukcje na wypadek przewidzianej akcji zbrojnej. W myśl tej instrukcji szpital miał pełnić rolę punktu opatrunkowego, skąd ranni i chorzy, po udzieleniu im pierwszej pomocy, mieli być kierowani do pobliskich szpitali dla dorosłych. Ponadto w szpitalu miały się mieścić składy sanitarne i żywnościowe dla zaopatrywania grup walczących na Woli.

Funkcję dyrektora szpitala pełnił w tym czasie dr Jan Bogdanowicz.

Wybuch powstania zaskoczył wiele osób z personelu szpitalnego na mieście. Przyczyną tego był fakt, że mimo umowy szpital nie otrzymał zawiadomienia o terminie wybuchu powstania. Większość tych osób, prędzej lub później, stawiała się do pracy, często z narażeniem życia przedzierając się przez znajdujące się pod ostrzałem ulice. Komu nie udało się dotrzeć do naszego szpitala, zgłaszał się do najbliższych punktów [sanitarnych] i szpitali. Pracy nie brakło dla nikogo.

W chwili wybuchu powstania w szpitalu przebywało czterech lekarzy, w tym zaledwie dwu chirurgów. Z czasem szefostwo sanitarne przydzieliło kilku lekarzy do pomocy, byli to jednak przeważnie nie-chirurdzy i mimo najlepszych ich chęci korzyść z tej pomocy była skromna. Przez długi czas cały ciężar pracy spoczywał na barkach chirurgów miejscowych, dopiero po kilku dniach przybył do szpitala dr Kmicikiewicz, chirurg wyrobiony, i część odpowiedzialnej pracy przejął na siebie.

Niemal od pierwszych chwil powstania zaczęli napływać do szpitala ranni, których po udzieleniu im pierwszej pomocy kierowano do pobliskiego Szpitala św. Łazarza. Wkrótce jednak okazało się, że szpital ten nie posiada obsady chirurgicznej, wobec czego nie może przyjmować rannych wymagających większych zabiegów. Stan ten wykryła przypadkowo jedna z lekarek, która udała się do Szpitala św. Łazarza celem dowiedzenia się o stan zdrowia rannych, skierowanych z naszego punktu do szpitala. Z przerażeniem stwierdziła, że ranni, wymagający niejednokrotnie poważnych i pilnych zabiegów chirurgicznych, zostali ułożeni do łóżek i o żadnej operacji w ogóle nie ma mowy. Wśród rannych znajdował się szczególnie ciężki przypadek postrzału brzucha, był to 16-letni chłopiec, łącznik „Witek”. Od początku powstania minęło już około trzech godzin, a chłopak był jednym z pierwszych rannych, nie było więc czasu do stracenia.

Szpital im. Karola i Marii, jako wyłącznie dziecięcy, nie miał warunków do przyjmowania chorych dorosłych. Szpital Wolski był zaś niedostępny ze względu na zabarykadowanie ulic i silny ostrzał. Wobec takiej sytuacji zdecydowaliśmy się, bez względu na związane z tym trudności, przyjmować rannych dorosłych. Niezwłocznie opróżniono kilka sal na oddziale chirurgicznym, dzieci przeniesiono na oddziały wewnętrzne, zebrano łóżka personelu i częściowo z okolicznych domów dzięki ofiarności dobrych ludzi i tak wkrótce powstał oddział dla dorosłych. Oddział ten, w miarę napływu rannych, stopniowo rozrastał się.

Jednocześnie rozpoczęła się praca na salach operacyjnych. Niekończące się pasmo operacji otworzył „Witek”, mimowolny sprawca zamieszania, który zresztą jako jeden z niewielu mężczyzn ocalał z pogromu i szczęśliwie wydostał się z Warszawy. Operowano bez przerwy i wytchnienia na dwa, a często i trzy zespoły chirurgiczne. Mimo to jednak liczba rannych czekających na zabieg operacyjny wzrastała niepokojąco.

Równolegle do sali operacyjnej pracowała oddzielna grupa siostr, przygotowując materiał operacyjny i sterylizując gotowe puszki. Sterylizacja szła bez przerwy dzień i noc. Wspólny wysiłek wszystkich składników skomplikowanej maszyny szpitalnej zapewnił ciągłość jej pracy.

Mijały dni wytężonej pracy, urozmaicały je od czasu do czasu nieprzewidziane zdarzenia, jak ostrzeliwanie szpitala z czołgów lub bombardowanie sąsiadujących z nim ulic. Napływ rannych był znaczny, stopniowo zabrakło łóżek i ranni musieli leżeć na materacach rozłożonych na ziemi.

W piątym dniu powstania sytuacja, dotychczas znośna, pogorszyła się wybitnie. Rozpoczęło się słynne natarcie na Wolę oddziałów dywizji SS „Herman Göring”. Dywizja ta, składająca się prawie wyłącznie z „kałmuków” i Ukraińców, wstawiła się bestialstwem i mordami popełnionymi na ludności cywilnej, nie wyłączając kobiet i dzieci.

Po południu tego dnia został zajęty Szpital Wolski, który znajdował się na linii frontu. Podówczas nie wiedzieliśmy nic o losie, jaki spotkał rannych i personel tego szpitala. Poszczególni uciekinierzy zapewniali, że Niemcy zachowali się tam „przyzwoicie”.

Oddziały powstańcze pod naporem nacierających Niemców wycofały się powoli w kierunku śródmieścia. Szefostwo sanitarne odcinka, mimo że stale „urzędowało” w szpitalu, opuściło go, nie powiadomiwszy kierownictwa o sytuacji i nie wydawszy żadnych zarządzeń co do ewakuacji rannych.

Wieczorem przeszła przez szpital grupa lekarzy i lekko rannych ze Szpitala św. Łazarza, oznajmiając, że Niemcy zajęli go. Wkrótce potem szpital ten zaczął płonąć, nie dochodziły stamtąd żadne głosy, panowała zupełna cisza, sądziliśmy, że rannych i chorych przed podpaleniem wyprowadzono. Płomienie zagrażały przeniesieniem się pożaru na nasz szpital do tego stopnia, że zmuszeni byliśmy zorganizować akcję ratowniczą.

Tak mijały godziny tej koszmarnej nocy, w każdej chwili spodziewano się wkroczenia Niemców, mimo to praca szła bez przerwy. Około godz. 1.00 w nocy zjawił się żołnierz z AK z „życzliwą” radą od swego komendanta, by ewakuować rannych, gdyż na terenie szpitala rozegrają się walki. Dr Bogdanowicz, który udał się niezwłocznie do dowództwa odcinka, otrzymał potwierdzenie tej wiadomości i radę „róbcie, jak uważacie”. Zwołano niezwłocznie lekarzy na naradę. Sytuacja przedstawiała się następująco: w szpitalu znajdowało się około 200 rannych i chorych, w tym 60 dzieci; do dyspozycji mieliśmy kilkanaście par noszy, rannych trzeba by przenosić 2 – 3 km do śródmieścia, pod ostrzałem; do świtu były zaledwie cztery godziny. Po naradzie, wobec niemożliwości przeprowadzenia ewakuacji, postanowiono pozostać na miejscu, zwłaszcza że nie wiedzieliśmy o metodzie mordowania rannych. Nadmiar personelu, który napływał w miarę zbliżania się frontu, odesłano na tyły. Były to przeważnie patrole sanitarne. W szpitalu pozostała karetka sanitarna, wyładowaliśmy ją mundurami rannych oraz porzuconym sprzętem wojskowym, po czym wypchnięto ją poza obręb szpitala w kierunku stanowisk oddziałów powstańczych. Przez całą noc palono w kotłowni „materiał kompromitujący”, jak wojskowe torby sanitarne, mundury, opaski itd.



Nadszedł świt 6 sierpnia. Przed świtem tego dnia popełniła samobójstwo jedna z najstarszych i najbardziej zasłużonych pielęgniarek szpitala P. J. Sikorska, nie wytrzymując nerwowo rozgrywających się wypadków. Szpital znalazł się pod ostrzałem artylerii i granatników, dokoła płonęły wszystkie domy, naloty powtarzały się w regularnych odstępach co pół godziny. Szpital otrzymał szereg pocisków, szczególnie ucierpiał budynek gospodarczy. W czasie tym została ciężko ranna p. M. Stobierska, pielęgniarka szpitala. Operowano ją niezwłocznie, niestety została ona później na terenie szpitala dobita przez Niemców.

Napływ rannych od wybuchów bomb wzrósł niepomierne, nie było już gdzie ich kłaść, leżeli na podłodze na tym, na czym ich przyniesiono – na kocach, płaszcach, płachtach itp. Wkrótce zabrakło miejsca na podłodze. Sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna, nie mogliśmy wszystkim wymagającym zabiegów chirurgicznych zapewnić pomocy, potrzeba było na to około dwu dni intensywnej pracy. Z konieczności ograniczono się do opatrunków i wykonywania najpilniejszych zabiegów.

Około godz. 15.00 wpadli do szpitala Niemcy, a raczej oddziały SS składające się z „kałmuków” i Ukraińców pod dowództwem niemieckim. Szpital wyprowadzono w trzech grupach. Najpierw wypędzono personel i ludność cywilną z budynków ambulatorium i gospodarczego. Grupa ta, składająca się z personelu lekarskiego i pielęgniarskiego, została wyprowadzona do fortu Bema. Na szczęście wszyscy z tej grupy ocaleli, mimo że część została wywieziona na roboty do Niemiec.

W drugiej grupie wyprowadzono oddział chirurgiczny, na którym znajdowało się około 150 rannych mężczyzn, kobiet i kilkoro dzieci. Na oddział wpadła rozbawiona zgraja żołdaków, wygrażając bronią i rabując kosztowności – jak zegarki, pierścionki, pióra wieczne itp., wtedy też zgwałcono jedną z pielęgniarek, innym udało się szczęśliwie uniknąć hańby. Po pewnym czasie polecono nam zabrać ciężko rannych na nosze, a lżej rannym iść piechotą i grupę tę skierowano ulicami Leszno i Górczewską w kierunku przejazdu kolejowego. Ponieważ noszy było niewiele, kto mógł, dźwigał się z łóżka i szedł w nadziei wydostania się z tego piekła. Szli ranni po ciężkich operacjach brzusznych, szli w gipsach, szynach itp. Szli przeważnie boso i w bieliźnie. Personel z braku noszy zabrał tylko część rannych, tak że na oddziale pozostało jeszcze kilkaset osób ciężko rannych, których nie można było zabrać. Los tych rannych nie jest wiadomy, gdyż słuch o nich zaginął, najprawdopodobniej zostali oni wszyscy wymordowani.

Dzień był pogodny i upalny, na świecie było jednak mroczno, powietrze pełne było gryzącego dymu, dokoła płonęło wszystko, żar panował nieopisany. Niesamowity ten pochód, eskortowany przez SS-manów, posuwał się powoli w kierunku Szpitala Wolskiego zatrzymywany przez stojące co kilkadziesiąt kroków posterunki. Co chwila zmieniano zarządzenia, to kazano rannych zostawić i iść dalej, to znów zawracać do szpitala. W czasie tych postojów inscenizowano przygotowania do egzekucji, ustawiając przed frontem karabiny maszynowe. Była to diabelska reżyseria i aktorzy z piekła rodem. Wyczerpywała ona do tego stopnia, że gdy podczas jednego z postojów wywołano z szeregu dra Kmicikiewicza i po zamienieniu paru słów zastrzelono go na oczach wszystkich, z czyichś ust wyrwało się westchnienie ulgi: „chwała Bogu, idziemy pojedynczo”. Wszyscy byli przygotowani na najgorsze, nie było żadnych prośb, krzyków ani płaczów, jedynie pragnienie, by się to wreszcie skończyło. W czasie postoju, już w pobliżu Szpitala Wolskiego, gdy czoło pochodu na polecenie lekarza niemieckiego skręcało do szpitala, gdzieś w ruinach i dymiących jeszcze zgliszczach rozległ się śpiew *O sole mio*. To Niemcy nastavili głośnik i uprzyjemniali sobie chwile mordów i zbrodni. Wreszcie cała grupa weszła do Szpitala Wolskiego, rannych zaczęto już układać do łóżek, gdy znowu, jak grom z jasnego nieba, przyszło polecenie, aby rannych mężczyzn wraz z dziesięcioma pielęgniarkami i lekarzem odesłać z powrotem do Szpitala Karola i Marii. Niemcy zaczęli wyciągać rannych z łóżek, wielu jednak udało się ukryć i uniknąć losu swoich kolegów. Przez szereg dni jeszcze obawialiśmy się o naszych rannych, gdyż Niemcy stale węszyli po szpitalu. Rannych, których Niemcom udało się złapać (około 10 osób), musiał odnieść personel Szpitala Karola i Marii. Przed szpitalem kazano rannych pozostawić, a samym wejść do szpitala, gdzie była jeszcze na oddziale wewnętrznym „S” grupa dzieci z częścią personelu pielęgniarskiego i lekarzem. Ranni pozostawieni przed szpitalem zostali wymordowani.

Oddział wewnętrzny „S” znajdował się na końcu szpitala, tuż przy ul. Żytniej, i nie był z początku zajęty przez Niemców. Na oddziale tym zostały skupione dzieci chore (wewnętrznie i chirurgicznie) nie zabrane przez rodziców przed powstaniem. Ogółem było ich około 50, w tym ośmioro niemowląt. Pawilon „S”, tak jak większość Szpitala im. Karola i Marii, był cały oszklony (wielkie okna, przegrody między celkami). Przy ostrzeliwaniu i bombardowaniach, a zwłaszcza, gdy Niemcy tuż za szpitalem umieścili czołg i granatniki, grad pękającego szkła zaczął się sypać na łóżka z dziećmi. Wyciągnięto je czym prędzej na korytarz i ponakrywano czym się dało: kocami, kołdrami, prześcieradłami itp.

Wstrząsy od wybuchów i strzałów, które tak były silne, że zdawało się, iż lada chwila zawali się budynek, następowały co 3 – 5 minut. Przerażone dzieci krzyczały i płakały, starsze zaczęły się modlić, chóralnie odmawiając swój codzienny pacierz, a potem jedno „Zdrowaś Mario” za drugim. Jedna z pielęgniarek szczotką wybijała pozostałe jeszcze resztki szyb.

W tym czasie wyszła z oddziału pielęgniarka Stobierska i została ciężko ranna w nogę przed pawilonem. Przeniesiono ją niezwłocznie na oddział chirurgiczny. Resztkami mieszanek nakarmiono niemowlęta i rozdzielono żywność pomiędzy dzieci. Zaczęliśmy odczuwać dotkliwie brak wody. Ostrzeliwanie trwało nadal i jeden z pocisków niemieckich trafił w pawilon sekcyjny, tuż za pawilonem „S”. Przez szpital cofnęły się nieliczne grupy powstańcze, którym wydano zapas chleba.

Wkrótce potem, choć Niemcy nie wchodzili jeszcze na oddział, usłyszeliśmy słowa komendanta atakujących. Atak ten przez szpital trwał, mimo poparcia artylerii czołgu, granatników i ciężkich karabinów maszynowych cały dzień bezskutecznie. Niemcy weszli, jak to już było powiedziane, najprzód do pawilonu ambulatoryjnego, potem na chirurgię i gospodarczy, usuwając stamtąd wszystkich. Koło wieczora wbiegła na oddział „S” grupa, która przybyła ze Szpitala Wolskiego z rannymi, oznajmiając, że pali się pawilon chirurgiczny wraz z pozostałymi tam chorymi. Rozpoczęto niezwłocznie ewakuację, jednak już przy wyniesieniu trzeciego rannego Niemcy wygnali personel, nie pozwalając dalej ratować. Z trudem udało się uchronić przed zastrzeleniem już wyciągniętych rannych. Oficer niemiecki stał nad nimi z wyciągniętym rewolwerem, krzycząc *Alles banditen* i z trudem udało się wytłumaczyć mu, że to niby „cywilna” ludność, ofiary nalotów na Warszawę. Co się stało z pozostałymi rannymi, trudno powiedzieć. Niemcy podpalili zaraz potem inne pawilony: gospodarczy, dyfterytyczny i obserwacyjny. Powoli nadszedł zmierzch i wtedy dopiero Niemcy weszli do pawilonu „S”. Widząc stłoczone w korytarzu dzieci i niewielką grupę personelu oznajmili, że „Hitler zabronił już dalej mordować” i możemy być spokojni o życie. Na prośbę naszą dostarczenia nam żywności, a właściwie pozwolenia zabrania jej z palącego się oddziału gospodarczego zaproponowali postanie po nią dwóch młodych pielęgniarek. Wobec tego woleliśmy zrezygnować z żywności.

„Kałmucy” obsadzili okna karabinami maszynowymi, jednak gdy się ściemniało, cofnęły się do pawilonu ambulatoryjnego. Wychodząc, zabrali olejek kamforowy w sterylizowanych słoikach do smarowania broni.

Strzelanina ucichła, tylko palące się budynki oświetlały ogród szpitalny. Wzdłuż ścian budynku „S” leżeli na noszach wyciągnięci ranni. Przybyło parę osób ciężko rannych z pogromu Woli. Jedna ciężko postrzelona matka przyniosła ranną dziewczynkę, zmarły one jednak po dwu godzinach, nieprzytomne jeszcze z przerażenia, bez możliwości ustalenia, kim są. Przyczołgała się też staruszka z postrzeloną nogą. Przybłąkała się skądś koza, która chodziła trop w trop za personelem, jakby bojąc się samotności. Nocą przeszedł przez pawilon żołnierz AK, rozpytując o pozycje Niemców. Zza płotu od ulicy Żytniej słychać było szeptem prowadzone rozmowy powstańców.

Wobec nasilającego się pożaru, obawiając się, że ogień przeczuci się na pawilon „S”, z wielkim trudem wyniesiono dzieci do ogrodu. Jednocześnie podjęto próbę przedostania się do Szpitala Wolskiego na Płocką. Poszedł patrol sanitarny, ale ostrzelany już na Żytniej, musiał wrócić. Wobec ustalenia, że niebezpieczeństwo pożaru na razie oddziałowi „S” nie zagraża, wniesiono dzieci z powrotem do budynku. Nad ranem jednak zaczęła się palić framuga okienna i część drzwi pawilonu. Bojąc się, że Niemcy (jak to zrobili z chirurgią) nie pozwolą ratować oddziału „S”, ponownie zaczęto wnosić dzieci. Naprzód część umieszczono w ogródku po prawej stronie szpitala, potem, za radą jednego z pracowników szpitala Stępnia (został on nazajutrz zabity przez Niemców) resztę na drugą stronę. Kiedy już wszystkie dzieci wyniesiono, nastąpiła nieprzewidziana katastrofa.

Niemcy rozpoczęli znowu atak poprzez szpital, umieszczając karabiny maszynowe między rannymi. Najgorzej wyszła na tym grupa znajdująca się w ogrodzie po prawej stronie szpitala. W tej grupie zginęło parę dzieci i dorosłych. Pielęgniarka Dąbrowska, sama ranna w rękę, mimo że Niemcy usiłowali usunąć ją od dzieci, pozostała na miejscu, uspakajając je i opatrując. Dopiero, gdy po wielu godzinach zmuszona była pójść po wodę dla rannych, zatrzymana została przez Niemców i po groźbie rozstrzelania skierowana na Płocką. Jak ciężka była sytuacja tej grupy świadczy fakt, że na noszach jednego z rannych zabite zostało dziecko i obok Niemiec przy karabinie maszynowym.

Po drugiej stronie budynku szpitalnego, gdzie przebywała reszta personelu i dzieci, było trochę lepiej. I tu jednak od strzałów ranna została pielęgniarka i dziecko. Gdy od serii z automatu zabitych zostało dwóch „kałmuków”, Niemcy kazali natychmiast usunąć się ze szpitala i zegnawszy personel z tymi dziećmi, które udało się wziąć na ręce i na jedno nosze, wyprowadzili ich poza szpital, eskortując na Płocką do Szpitala Wolskiego. Ponieważ zabrać



się udało tylko część dzieci, pielęgniarki parokrotnie wracały, mimo niebezpieczeństwa i zmęczenia, aby uratować resztę. Przyniosły one paru dorosłych rannych i część dzieci. Mimo to, z powodu zamieszania, wyganiania przez Niemców i ciągłej strzelaniny, część rannych i dzieci nie mogła być tego dnia zabrana. Jeszcze na drugi dzień i w dni następne doniesiono parę dzieci, w tym jednego chłopca starszego. Chłopak ten, niemogący chodzić na skutek przewlekłych poreumatycznych zniekształceń kończyn, zakopał się w krzakach. Tu wykrył go „kałmuk” i chciał zastrzelić, zarzucając mu przedtem chustę na twarz. Dziecko zdało chustę i wtedy zabójca dał mu spokój. Z uratowanych dzieci zmarły potem na zapalenie płuc i biegunki wszystkie niemowlęta.

Po tych dniach pełnych grozy zmarł Szpital im. Karola i Marii, chluba Warszawy, wspinałe dzieło ofiarności Zofii Szlenkierówny, kolebka wielu wybitnych lekarzy pediatrów. W ciągu paru miesięcy po zburzeniu szpital był czynny jako oddział dziecięcy w Szpitalu Wolskim, w końcu zaś października tegoż roku, w związku z ewakuacją, został przeniesiony do Włodzimierzowa pod Piotrkowem, gdzie w bardzo trudnych warunkach pracował do stycznia 1946 roku.

W chwili obecnej Szpital im. Karola i Marii organizuje się w gmachu przy ul. Działdowskiej na Woli, gdzie będzie posiadał przeszło 150 łóżek. Resort Zdrowia i Opieki Społecznej zorganizował żłobek im. Karola i Marii, całkowicie wyposażony przez Szwedzkie Towarzystwo „Radda-Barnen”.